

Władysław Szczęśniak – *Okiem warszawskiego gawrosza*

„Głos Pracy”

nr 205 z 28 sierpnia 1956 r.

Miłośnikom warszawianów „Czytelnik” sprawił wielką przyjemność, wydając „Pamiętnik Filipka”. Niewielka ta książeczka nie wyróżnia się w witrynach księgarskich bogactwem reklamowej oprawy. Dopiero przy bliższym zaznajomieniu pozwala poznać swój smak, wynikający w równej mierze z treści, jak i starannej szaty graficznej.

„Pamiętnik Filipka” obejmuje okres życia Warszawy pod zaborem pruskim, poprzedzającym wydarzenia czasów napoleońskich. Przez pryzmat spojrzenia warszawskiego „cwaniaka” z owych lat, spoglądamy na Warszawę, jej mieszkańców rodzimych i napływowych, a w tym także na pruskiego okupanta oraz goszczących w Warszawie emigrantów francuskich: ukrywającego się pod nazwiskiem hrabiego de Lille – Ludwika XVIII, jego popleczników i przeciwników. Widzimy tu (jakże podobne są losy emigrantów) skłócone rojowisko intryg, nędzę przebywających na obczyźnie szaraczków i bogactwo możnych.

Filipek jest przedstawicielem warszawskiego ludku z gatunku tych, co to bogato nie sieją, gruntownie nie orzą, a mimo to jakoś, i to nie najgorzej, żyją. Posiada on wszystkie, do dziś jeszcze niewygasłe, warszawskie cechy. Myślę tu o tych dobrych cechach: patriotyzmie, zdolnościach do wnikliwych obserwacji i analizy wydarzeń oraz o swoistym, właściwym dla tego gatunku dowcipie. Tym samym, który w sto kilkadziesiąt lat później, w czasie okupacji hitlerowskiej, stworzył dziesiątki powiedzonek i anegdot w stylu: „Panie tymczasowy”.

Filipek nie zajmuje się stałą pracą. Wynajmuje się do najprzeróżniejszych robót. Wozi taczkami ze stacji dyliżansów pocztowych rzeczy przyjezdnych, pomaga w różnych czynnościach głośnemu astronomowi warszawskiemu i pierwszemu „przepowiadaczowi pogody” – Magierowi, sprząta kwaterę znanemu autorowi pierwszej „Gramatyki dla szkół narodowych” – pijarowi ks. Kopczyńskiemu, roznosi książki poecie Franciszkowi Dmochowskiemu, jest akwizytorem, przyjmującym zamówienia na wiekopomny słownik Lindego, który to dzieło właśnie w tym czasie opracowuje i wydaje.

W ten sposób, stykając się z różnymi ludźmi, w znacznej mierze z przedstawicielami współczesnej – nie tylko w warszawskiej skali – elity umysłowej, Filipek nabywa wiele wiadomości, niejako kształci się, obserwacje jego są inteligentne, a skrupulatnie robione zapiski nacechowane są wartością rzeczywistego dokumentu.

Miejscem stałego „urzędowania” Filipka jest Plac Zamkowy, gdzie pod kolumną Zygmunta, od rana do wieczora, mogą go odnaleźć jego „klienci” i sympatycy. A ma ich Filipek wielu i z najrozmaitszych warstw społeczeństwa Warszawy, podówczas „stolicy Prus Południowych”.

Sam o sobie Filipek powiada:

Nazywają mnie próżniakiem zygmontowskim, bo zwykle stoję albo siedzę pod kolumną Zygmunta i patrzę na Warszawę.

Dobre wybrałem sobie miejsce, chyba najlepsze, wszystko i wszystkich widzę, a i mnie widzą wszyscy. Każdy, kto idzie z rynku na Krakowskie Przedmieście, musi przejść koło mojej kolumny.

Oglądam piękne damy i pięknych kawalerów z pałacu pod Blachą, oglądam oficerów pruskich, oglądam Francuzów wielce markotnych odkąd generał Bonaparte ogłosił się konsulem, oglądam uczniów Liceum, których pan Linde prowadzi parami na Fawory.

Dużo widzę, dużo słyszę, bo niejeden wita się ze mną, wypytuje o nowiny i dzieli się własnymi.

[...] Słyszę [...] trąbkę dylizansu, który się zatrzymuje przed pocztamtem na rogu Koziej i Trębackiej. Biegnę tam zaraz i pomagam wynosić kufry. A potem opowiadam przyjezdnym, co się w Warszawie dzieje, bo wszystko wiem, za to mi płacą.

[...] Tylko ja odwożę kufry podróżnych.

[...] Prowadzę, [...] popycham taczki i to jest mój główny zarobek.

Rzetelność nakazuje przyznać, że choć niby to jestem próżniak, żadnej się pracy nie wstydzę.

Tak więc wszędobylski i popularny Filipek skrzętnie zbierał i notował swe wiadomości i obserwacje, aż powstał z nich pokaźny zeszyt. Mimo iż „Pamiętnik Filipka” jest zbiorem luźnych, właściwie niepowiązanych ze sobą notatek, stanowi on zwartą całość. Drobne codzienne wydarzenia warszawskie, nieraz ploteczki, wiążą się ze sobą, stwarzając jak mozaika, z drobnych kamyczków układana, wyraźny, pełen uroku i sentymentu obraz Warszawy owych dni, przeżywanych pod pruską okupacją, aż po ten dzień, kiedy wojska Napoleona w łunie pożogi zbliżyły się do miasta, dając nadzieję i pozory wolności...

Kilka osobnych słów należy się ilustracjom Antoniego Uniechowskiego. Ten artysta, niezrównany w rysunku piórkowym i w odtwarzaniu stylu właściwego dla danej epoki, w ilustracjach do „Pamiętnika Filipka” stworzył maleńkie arcydzieło złożone z kilkudziesięciu rysunków piórkowych, oddających z przedziwną finezją nastrój książki i podkreślających z wielkim artyzmem jej treść.

Szata graficzna ogólna, choć skromna, ale, jak powiedziałem na wstępie – staranna. A swoją drogą, kto wie, czy nie należałoby wydać tę uroczą książeczkę w trwalszej niż broszurowa oprawie, tym bardziej, że zdaje się, obecne wydanie nie zajmie długo miejsca na półkach księgarskich. Miłośnicy starej Warszawy i łowcy varsavianów z pewnością niedługo się uwiną z rozkupieniem niezbyt wielkiego nakładu (20 tys.), popartego przystępną ceną 7,70 zł.